



# Biały motyl

*Emilia Rejner*



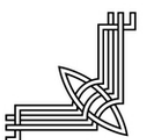
- Zrobię to. Zobaczysz. Złapię go.

Ana Varrthasir westchnęła cicho, spoglądając na przyjaciela sceptycznie. Od kilku dni słyszała te zapewnienia niemal bez przerwy. Odkąd Farirowi wydało się, że widział cień salle, białego motyla Tameru, chodził za nią krok w krok i nie mówił o niczym innym.

- Będę pierwszym od dekad, któremu się to udało - perorował dalej młody tropiciel, niezrażony milczeniem dziewczyny. - Teraz, gdy znowu się pojawiły, mam swoją szansę, Ana. Nie będę miał lepszej! Te wszystkie złotka, karmazynowe sny, szare pręgi... Lubię je łąpać. Lubię łąpać wszystkie motyle. Są ładne. I drogie. Ale, na dłuższą metę, są nudne. Nie tak, jak białe. Nie tak, jak salle. Złapię go, Varrthasir, masz na to moje słowo.

Ana westchnęła po raz wtóry. Wcale nie oczekiwała od Farira obietnic. Nie potrzebowała ich. Poza tym, niezależnie jak byłby przekonany o swym powodzeniu, dziewczyna po prostu nie wierzyła w jego opowieści.

Farir był dobrym tropicielem, świetnym potawiaczem motyli. Szesnastoletni syn pasterzy od najmłodszych lat chodził po górach Tameru, kręcąc się pod nogami łowców skrzydlatych stworzonek. Był upierdliwy i w tej upierdliwości dość wytrwały, by wreszcie przestali go odpędzać, za to - przyuczylu fachu. Gdy jedni oswajali się z rosnącymi jeleniami, wielkorogami, by z czasem przejść opiekę nad którymś z klanowych stad, inni uzbrajali się w sieci, stoje i słodkie przynęty, by spędzać całe dni na odkrywaniu siedlisk barwnych owadów. Farir szybko stał się jednym z lepszych wśród potawiaczy motyli. Grupy młodocianych tropicieli zaczęły patrzeć na niego z szacunkiem, na który zapracował godną podziwu intuicją w wynajdywaniu siedlisk, sokołą spostrzegawczością





i wprawą w chwytności motyli bez naruszania ich delikatnych skrzydeł. Spośród wszystkich dzieci i nastolatków parających się poławianiem, Farir szybko stał się najsprawniejszym z nich.

A jednak nawet on nie powinien marzyć o *salle*. Białe motyle były legendą, niczym więcej. Mówiło się o nich przy ogniskach, ale już dawno nikt nie widział żadnego na własne oczy.

- Złapię – powtórzył tropiciel z uporem maniaka i Ana westchnęła ciężko. Farir, gdy chciał, potrafił być szalenie irytujący. Gdy nie chciał zresztą też.

- To złap – rzuciła Varrthasir krótko, oschle. Rozdrażniona monotematycznością przyjaciela, nieco zbyt silnie docisnęła szorstką szczotkę do skóry hangtyrana, na co jeleni zaprotekował tubalnym, trąbiącym rykiem. Dziewczyna skrzywiła się lekko. Wielkorogi były kochane, ale uszy cierpły od ich głosów.

- To złap – powtórzyła, głaszcząc zwierzę po boku w ramach przeprosin. Przerwała na chwilę pielęgnację jelenia i obejrzała się na przyjaciela, krzywiąc się z irytacją. - Złap i przestań pierdolić.

Farir sapnął oburzony, po chwili jednak uśmiechnął się – leniwie, cwaniacko, w ten sposób, który Varrthasir doskonale znała, a który nie zwiastował niczego dobrego. Wychudzony, żyłasty nastolatek był typem beznadziejnego kombinatora. Znali się od małego, wychowywali razem – ich rodzice zajmowali się tym samym stadem wielkorogów, byli więc na siebie skazani – i Ana zdążyła się już nauczyć, że Farir jest *trudny*. Ambitny i zdeterminowany. Irytujący i, jeśli sądzi, że coś na tym ugra – nachalny do granic możliwości.

- Jutro idę w góry – zapowiedział, ale Varrthasir wiedziała, że to tylko początek. Podskórnie czuła podstęp, a intuicja nigdy jej przecież nie zawodziła. Wyczuwała zagrożenie tak, jak czuło się smak jedzonych dań czy zapach kwitnących krzewów.

Farir sam w sobie nie był zagrożeniem, ale to, jak łatwo potrafił ją podejść – ją, młodą pasterkę o głowie pełnej wielkich planów – już było.

- Właściwie chciałem ci zaproponować, żebyś poszła ze mną, w końcu dawno nie ruszałaś tyłka z miasta, ale... - Chłopak wzruszył lekko ramionami i uśmiechnął się niewinnie. - Coś zaczęło straszyć na szlakach, nie sądzę więc, żeby ciągnięcie cię ze sobą było rozsądne.

Ana westchnęła głęboko. Ach. Ach, więc to tak.

- Straszny – mruknęła i pokręciła głową, Farir wiedział jednak, że przynęta została zarzucona. Wyzwania zawsze na Varrthasir działały. Choćby nie wiadomo jak się starała, po prostu nie potrafiła im odmówić.

Dziewczyna zawsze coś udowadniała. Swoją siłę, swoją niezależność i to, że zasługuje na miano ulubienicy heidra, Jariza Lima. Jakby od tego zależała jej wartość, jakby bez nieustannego przypominania o swych zaletach miała stać się gorsza, mniej wartościowa dla klanu.

- Straszny – potwierdził Farir. Wsparty się o ogrodzenie pastwiska, przekrzywił lekko głowę, przyglądając się przyjaciółce z uwagą. Ana wróciła do czesania hangtyrana, delikatnie, niemal pieszczotliwie rozplątując





kottuny w gęstej, szorstkiej sierści jelenia. – Yankur mówił, że przy ostatnich łowach coś przepłoszyło im zwierzynę, i że już od paru dni słychać takie jakieś... Dźwięki. Skrzeki. Jakieś wycie.

– I? – Varrthasir zerknęła na tropiciela kątem oka. – Zamierzają coś z tym zrobić?

– Będą musieli, ale na razie nie wiadomo, co. – Farir wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. – Łowców chyba strach obleciał. Podobno chcą prosić o pomoc Makhę.

Ana parsknęła cicho. Klanowy Głos, najsilniejsza spośród rytualistów była wspaniałą kobietą o silnym charakterze, a jednak myśliwi, myrkin, z jakiegoś powodu wzbraniali się przed zwracaniem się do niej o pomoc. Może dlatego, że była zbyt wspaniała. I zbyt silna.

– W każdym razie, miałem dobre chęci, ale chyba nie powinnaś iść. Coś mogłoby ci się stać, nie? – kontynuował Farir, sięgając jednocześnie ku młodemu, beżowemu hangtyranowi, który zbliżył się do ogrodzenia, zainteresowany zamieszaniem. Chłopak musnął delikatnie miękkie nozdrza cielęcia, uśmiechając się lekko gdy zwierzę dmuchnęło mu w dłoń ciepłym powietrzem i beknęło krótko.

Varrthasir milczała dłuższą chwilę. Kilkoma pociągnięciami szczotki uporata się z ostatnim kottunem na zadzie jelenia i wrzuciła zgrzebło do wiadra pełnego grzebieni, szczoteczek do racic i skórzanych worków z tłuszczem do pielęgnacji zwierzęcej skóry. Klepnęła hangtyrana w zad i odpędziwszy go do reszty stada, ponownie spojrzała na Farira.

– Jeśli komuś miałyby się coś stać na szlaku, to raczej tobie – stwierdziła sucho, świdrując chłopaka wzrokiem. Tak, jak on był irytujący ze swym gadulstwem, tak ona była drażliwa na punkcie swej wartości.

Ana była młoda i, z oczywistych względów, nie miała jeszcze za sobą nawet połowy szkolenia, które musiała odbyć, by być uznaną za pełnoprawną wojowniczkę klanu. Co więcej, wciąż jeszcze czekał ją unarok, rytuał dojrzałości, formalnie więc nie była jeszcze nawet dorosłą. Mimo tego nie warto było jej nie doceniać.

Jej rodzina była jedną z wielu podobnych w klanie. Od pokoleń zajmowali się hangtyranami i Ana nie znała innego życia jak to, które podzielało większość jej rówieśników. Obok przyuczania się podstaw walki, zielarstwa czy historii równie ważna – jeśli nie najważniejsza – była dla niej nauka obchodzenia się z rosnącymi jeleniami. Musiała wiedzieć, jak je karmić, jak dbać o ich sierść i podatną na choroby skórę, jak czyścić racice i w jaki sposób szkolić młode cielaki tak, by w przyszłości nie bały się ludzkiej dłoni. To było ważne, bo wielkorogi stanowiły przecież filar jej klanu. Hangtyran był ich opiekunem, totemem, ale był też źródłem utrzymania. Jelenie rogi, skóry i mięso stanowiły towary, którym klan zawdzięczał swój dobrobyt.

Ana nigdy tak naprawdę nie traktowała opieki nad rodzinnym stadem jako obowiązku. Oczywiście, były dni, kiedy nie miała ochoty ganiać kolejnego młodego rogacza i wypalać mu na udzie rodzinnej runy; były dni, kiedy dokarmianie ryczącego i trąbiącego głośno stada było ostatnim, co w danym momencie chciała robić – ogólnie jednak bardzo to lubiła. *Jest oddana zwierzętom bardziej niż ludziom*, mówiono często i było





w tym wiele prawdy. Patrząc z boku, trudno było nie odnieść wrażenia, że z hangtyranami Varrthasir dogaduje się o wiele lepiej niż ze swoimi rówieśnikami.

Nikt natomiast nie wiedział, dlaczego i kiedy dokładnie dziewczyna została ulubienicą Jariza Lima.

Jedna z teorii mówiła, że chodzi o podobieństwo, bo z młodym heidrem wiele ją łączyło. To samo uważne, drapieżne spojrzenie, gesty, tak samo ulotny uśmiech i podobna gracia – to wszystko sprawiało, że wielokrotnie zastanawiano się, czy młoda Ana nie jest przypadkiem skoligacona z klanowym przewodnikiem. Nie było na to żadnych dowodów, trudno było jednak wierzyć w przypadek. Jariza podobne podejrzenia niezmiernie bawiły. Parskał śmiechem za każdym razem, gdy ktoś ze śmiertelną powagą przytaczał te niestworzone historie, oczekując ich potwierdzenia lub zanegowania. Za świetny żart uważał też procesje coniektórych bjortari do Makhry, jakby ta mogła im wszystko wyjaśnić. I może rzeczywiście mogłaby, bo Głos była jedną z niewielu, która wiedziała, skąd tak naprawdę przyszedł ten śniady woj, by z czasem przejąć przewodnictwo nad klanem. Ale Makhra nie udzielała odpowiedzi, na które Tamer nie był gotowy.

W efekcie uznano, że po prostu tak jest, bez większego powodu. Heidr lubi Anę, Ana lubi heidra i nic się za tym nie kryje. Dogadują się i myślą podobnie, a Varrthasir jest przy tym dosyć zdolna, by klan mógł być z niej dumny. Tyle musiało wystarczyć.

Niezależnie od powodów, dla których Jariz ją sobie upatrył, faktem było, że Ana od małego żyła pod presją, którą niezwykle ciężko było dźwigać na młodych, drobnych barkach. Mogła być silna i zdolna, mogła być zdeterminowana, pełna ambicji i przekonana o swej wartości, ale gdy patrzył na nią cały klan, każdego dnia coraz silniej odczuwała, że nie może się potknąć, nigdy. Po prostu jej to nie przystugiwało.

Farir to wiedział, a jednak nie przeszkadzało mu to w wykorzystywaniu przekonania Any o jej wyższości. Sięgał po nie za każdym razem, gdy chciał postawić na swoim, wyciągając przyjaciółkę na mniej lub bardziej szalone wyprawy. Bo dziewczyna zawsze ulegała. Zawsze pozwalała się prowadzić na kolejne eskapady, bojąc się, że gdy odmówi, okaże się słaba.

A ona nie mogła być słaba.

\* \* \*

Wyruszyli następnego dnia tuż po wschodzie słońca. Przechodząc przez śpiący jeszcze obóz, Ana z westchnieniem rozprostowała plecy. Wciąż nie była przekonana, czy to dobry pomysł, ale nie mogła się już wycofać. Wstuchując się w odległe porykiwania zaspanych hang tyranów, uśmiechnęła się przelotnie.

Przynajmniej nie będzie się nudzić.

Góry Tameru były ciche i ciepłe. To właśnie to ostatnie najbardziej różniło je od szlaków Euxaniru. Tam, gdzie wyższe, strome szczyty Pasm pokrywał śnieg, łagodniejsze zbocza Tameru porastały miękkie, wonne trawy. Dominujące w wyższych górach nagie skały tutaj ustąpiły częściowo połoninom, a wiele ścieżek wiło się





w półmroku gęstych, mieszanych lasów porastających stoki. Wiatry były tu cieplejsze, słońce jakby bardziej gorące, a noce bardziej przejrzyste i rozgwieżdżone od tych nad Euxanirem.

Nie szli długo, gdy Farir zatrzymał się nagle. Młody łowca wyhamował tak gwałtownie, że Ana z sapnięciem wsparła mu się na plecach, dopiero wtedy orientując się, że przechadzka została przerwana.

- Co ty robisz, debilu? - burknęła. Na szlakach nie powinno się zatrzymywać tak gwałtownie. Na szlakach w ogóle wielu rzeczy nie można było robić, chodziło w końcu o bezpieczeństwo. Stanięcie jak wrytym bez uprzedzenia bezpieczeństwu nie sprzyjało ani trochę - a przede wszystkim szalenie Anę drażniło.

Farir nie wyglądał na szczególnie przejętego niechęcią przyjaciółki. W skupieniu wpatrywał się w ścieżkę przed nimi, po krótkim, prostym odcinku ginącą między ścianami lasu.

- Czy możesz wreszcie...

- Patrz. - Nie dał jej dokończyć, wskazując coś palcem. Varrthasir zmrużyła oczy, odruchowo pochylając się najpierw nad ramieniem chłopaka, potem wyprzedzając Farira i postępując kilka kroków przed siebie.

Wreszcie sapnęła cicho i potrząsnęła głową.

- Nic nie widzę - skwitowała oschle, ruszając dalej. Farir dogonił ją po kilku krokach.

- Bo dupa z ciebie, nie łowca motyli - podsumował chłopak beztrąsko, uśmiechając się od ucha do ucha. - Było białe. Latało tam.

- Farir, ty naprawdę...

- Było - powtórzył stanowczo chłopak. Ana prychnęła cicho.

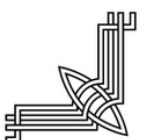
Siedlisko *salle*, zdaniem Farira, mieściło się w grotach powszechnie znanych jako motyle leża. Jedna z gór usiana była jaskiniami jak plaster żółtego, halskiego sera, a każda z wnek stanowiła idealny ekosystem dla drobnych stworzonek. Ciemne i ciepłe, grotby były suche, ostionięte od wiatru i położone dość wysoko, by nie zbłądził w nie przypadkowy wędrowiec. Gdy człowiek już tam docierał, musiał wiedzieć, po co idzie - i gdzie szukać. Jaskinie tworzyły labirynt, w którym łatwo było się zagubić. Chodzili tam więc ci, którzy *wiedzieli*. Jak Farir.

- I naprawdę uważasz, że dotąd nikt by ich nie znalazł? - spytała Ana z powątpiewaniem. Masywna, do połowy zalesiona góra rosła nad nimi z każdym kolejnym krokiem. Teraz, gdy stanęli tuż przy niej, na początku jednego ze szlaków wiodących ku jaskiniom, najwyższe partie nagich skał ginęły w chmurach.

- Ktoś może i znalazł - zaczął Farir powoli, błądząc wzrokiem po otworach kolejnych jaskiń - ale nikt nie przyniósł - podsumował rzeczowo.

Varrthasir milczała przez dłuższą chwilę.

- To w której? - zapytała wreszcie.





- Nie wiem - stwierdził radośnie Farir. Jaskiń było zbyt wiele, by mogli obejść wszystkie, ale młody potawiacz zdawał się nie widzieć żadnego problemu. - Zaczniemy od dołu i zobaczymy. Wykluczyłbym tylko te wschodnie, siedlisko barwników było tam tak duże, że raczej...

Nie dokończył.

Ana wciągnęła powietrze gwałtownie.

- Słyszalesz? - spytała półgłosem.

- No. Tak jakby - przytaknął z wahaniem. - Ale to jakieś takie z daleka i niewyraźne, pewnie toś. Albo inne takie.

- Łoś - Varrthasir prychnęła z niedowierzaniem. - Na pewno. Ty chyba nigdy nie...

- Na thynów, Ana, przestyszało nam się pewnie. - Chłopak wzruszył ramionami. - Słyszysz coś teraz?

Dziewczyna milczała długo, nastuchując. Odpowiadała jej jednak leśna cisza i, raz, odległy trzel jakiegoś ptactwa. Gdzieś zaszeleściły trącone wiatrem krzewy, jakiś liść skruszył się z suchym trzaskiem pod łapą przechodzącego lisa. Nic nietypowego. Nic, czym należałoby się przejmować.

- Nie - przyznała wreszcie z rezygnacją.

- No właśnie - Farir uśmiechnął się radośnie. - A więc, tak jak mówiłem, należałoby...

Znów nie dane mu było dokończyć. Tym razem jednak żadne z nich nie miało już najmniejszych wątpliwości, że na górze, gdzieś ponad nimi, coś zaskrzeczało - donośnie, z rozdrażnieniem.

- To jakieś żarty. - Farir uniósł brwi w zdumieniu. Zadarł głowę, spoglądając na skryty w chmurach szczyt.

Ana nie odpowiadała, młodemu myśliwemu to jednak nie przeszkadzało.

- Niby mówili, że straszy, ale to przecież... - Urwał, spoglądając na przyjaciółkę. - Co to jest?

Varrthasir uniosta brwi.

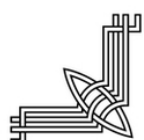
- Co? - spytała z niedowierzaniem. - Farir, a skąd ja mam wiedzieć, co to jest? To nie nasze.

Chłopak wiedział, co Ana miała na myśli. Żadne zwierzę w Tamerze nie wydawało takich dźwięków, a był tego pewien, bo jak każdy młody bjortari uczył się rozpoznawać tutejszą zwierzynę. Wszyscy musieli umieć rozeznaczyć się, czy mają do czynienia z niedźwiedziem czy, na przykład, tylko z rannym koziorożcem. Od tego zależało przetrwanie.

- To jednak nie brzmi jak duchy - stwierdziła wreszcie Ana. Myśliwi mogli sobie twierdzić, że tu straszy, Varrthasir jednak nie była przesądna i nie wierzyła w te wszystkie nadnaturalne historie.

- Nie - przytaknął Farir powoli. - Może lahata? - Mityczny stwór z legend południa miał być pół kobietą, pół sową, przeklętą z bliżej niesprecyzowanego powodu. Lahata miała krążyć nad obozowiskami i doprowadzać ludzi do szaleństwa, wabiąc ich do siebie swymi krzykami. - To mogłaby być ona, nie? Krzyczy i woła, więc...

Ana prychnęła z niedowierzaniem.





– Nie ma czegoś takiego, jak lahata. A nawet, gdyby była, to ona też nie jest stąd. Siedziałyby na południu, bo czego miałyby szukać w naszych górach?

Farir w zadumie pokiwał głową, nie starając się już na każdym kroku negować słów dziewczyny.

– Myślę – powiedział wreszcie. – Myślę, że musimy to sprawdzić, bo... – Zająknął się. – Białe.

Białe. Dużo białego. Teraz też to widziała. Ana nie kryła zaskoczenia. Jakieś kłębki i skrawki wznosiły się na łagodnym wietrze, wirując ponad lasem i tańcząc przy skalnych ścianach. Nie wiedziała, co to było, z tej odległości nie mogła dostrzec, ale...

Gdy jeden kłębek sfrunął nieco niżej, zniesiony nagłą zmianą wiatru, Varrthasir podciągnęła się kawałek na skalnej ścianie, by go złapać. Zeskoczyła z powrotem, kurczowo ściskając miękką zdobycz w dłoni.

– Pióro – rzuciła, przez dłuższą chwilę wpatrując się w znalezisko z niedowierzaniem.

– Co? Pokaż. – Farir pochylił się nad dziewczyną, niemal wtykając nos w jej zaciśniętą dłoń. Wciągnął powietrze gwałtownie, z komicznym świstem. – O kurwa.

– No – przytaknęła Ana chmurnie. – Białe pióro. Nic u nas nie ma białych piór.

Milczeli przez dłuższą chwilę. Wreszcie Farir wyprostował się i spojrzał na Varrthasir uważnie. Dziewczyna powoli skinęła głową.

Obydwoje wiedzieli. Teraz już na pewno musieli to sprawdzić.

\* \* \*

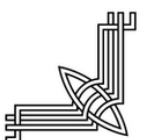
Nie wspinali się po górach tak dobrze, jak bjortari z Euxaniru, ale nadal lepiej od mieszkańców Etallaru czy Falhasu.

Szlak na szczyt nie był prosty. Na częściej używanych trasach bjortari wygradzali ścieżki, wciskali kamienne płyty w rozmyte zbocza, budowali kładki nad potokami, a na szczególnie trudnych odcinkach zostawiali liny i haki. Tu jednak, na szlaku prowadzącym na szczyt, niczego takiego nie było. Korony gór rzadko były potrzebne, nie żyło na nich nic, na co Tamerchycy mogliby chcieć zapolować ani nic, co mogliby chcieć zebrać. Wszystkiego, co potrzeba, dostarczały im niższe partie gór.

– Farir, ty nie umiesz chodzić po górach – sapnęła Ana mniej więcej w połowie drogi. Jej przyjaciel zamilkł już kilka chwil temu, co było nienaturalne i najlepiej świadczyło o trudności zadania, jakie mieli przed sobą.

Varrthasir zatrzymała się na chwilę, uczepiona skalnej ścianie jak pająk. Widziała już – a przynajmniej tak jej się wydawało – koniec tej nieszczęsnej wspinaczki. Tam, kilka metrów w górę, była półka, a za tą półką musiał być kawałek równego terenu. Wyżej nie było już nic poza gołymi, ostrymi skałami.

– Możesz jeszcze zejść – rzuciła na przydechu.





Pilnowała się, by nie patrzeć w dół. Zgrywała twardą, ale i dla niej eskapada nie była łatwa. Nieprzyzwyczajone do takich wyczynów ręce i nogi rwały ją z bólu i Varrthasir nie była pewna, ile jeszcze wytrzyma.

- Możesz zejść, pójde sama – dokończyła Ana, zbierając siły na ostatni zryw.

Farir sarknął w dole i potrząsnął głową.

- Żartujesz sobie – wydyszał. - Nie będziesz mi potem opowiadać, co widziałaś, muszę sam. Chcę to zobaczyć na własne oczy.

Z jednej strony Ana wcale mu się nie dziwiła. Nie wiedzieli jeszcze, co miało czekać na górze, ale musiało to być coś wartego uwagi. Coś, czego nikt wcześniej w Tamerze nie widział. Każdy bjortari wiele by dał za taką historię. Gdyby teraz stracili okazję, prawdopodobnie nigdy więcej nie mieliby podobnej.

A jednak Varrthasir bardzo nie chciała, by Farir się tu zabił. Był w końcu jej przyjacielem.

Gdy dotarli na szczyt, przez dłuższą chwilę nie mogli wydobyć z siebie słowa – tyleż samo ze zdumienia co z powodu godnej pożalowania zadyszki.

- To... To... – Farir sapał jak jedna z tych nowiutkich, eksperymentalnych maszyn z południa, wyrzucających z siebie kłęby pary i toczących się powoli szerokimi arteriami Hadharu. Oczywiście, żadne z nich takiej nie widziało, ale Jariz mówił, że takie były, wielkie jak największe niedźwiedzie, gyrdiry, i powolne jak woły, wciąż rozleniwione po zimie.

Chłopak nabrał powietrza ze świstem i wypuścił je powoli z sykiem.

- To jest...

- Tarmogryf – rzuciła krótko Ana. I ona z trudem łąpała oddech, a pochylenie się i wsparcie dłońmi o uda pomogło tylko trochę.

- Tarmogryf – powtórzył Farir przedramieniem ocierając pot z czoła.

Zapatrzony w stworzenie leżące na skalnej półce szybko zapomniał, po co tak naprawdę poszli w góry. Sieć na motyle zapięta na plecach i trzy szklane słoiczki dyndające mu u pasa już od jakiegoś czasu obijały mu się niewygodnie o ciało, chłopak jednak nie zwracał na to uwagi.

- Tarmogryf – powtórzył jeszcze raz. Uśmiech, najpierw nieśmiały, stopniowo zaś coraz szerszy, rozświetlił usmarowaną skalnym pyłem twarz myśliwego. – Prawdziwy tarmogryf, co?

Zwierzę zdecydowanie było prawdziwe. Ciało masywnego lwa pustynnego o szerokiej piersi i wielkich łapach przechodziło w silną, ptasią szyję porośniętą piaskowo-białymi piórami. Łeb był jakby orli, choć znacznie większy, a wieńczący go dziób był masywniejszy niż u jakiegokolwiek ze znanych w Heimareldzie drapieżnych ptaków, twardy i na szpicu zagięty ku dołowi. Dwie pary ślepi zwierzęcia miały barwę miodu i obie świdrowały teraz przybyłą dwójkę ostrym, uważnym spojrzeniem.







Tarmogryf zaskrzeczał gardłowo i tąpnął głucho jedną z łap, pozostawiając na skale długie, wgłębione rysy po pazurach. Bijąc lwim ogonem o boki, pochylił łeb i zasyczał gadzio, w kolejnej chwili prężąc smukłą szyję i wypinając pierś.

Ana cofnęła się odruchowo, Farir jednak wskazał coś ruchem głowy. Varrthasir odetchnęła cicho. Łańcuch. Tylną łapę gryfa więziła szeroka, stalowa obręcz zakończona łańcuchem, który z kolei oplatał masywny pierścień wystający wprost ze skał. Charakterystycznie jasny blask więzów i kilka run wyrytych na obręczy wskazywało młodemu, że mają do czynienia z hadharską stalą i prawdopodobnie również hadharskim urokiem wiążącym.

- Pytanie brzmi... - odezwał się wreszcie Farir, nie spuszczać oka z tarmogryfa.

Dumne zwierzę prężyło się i szarpało przez chwilę, krzycząc gardłowo, nim wreszcie ponownie uspokoiło się i przysiadło na smaganej wiatrem skale. W takiej pozie przypominało posąg, jedną z tych zdobnych figur które miały strzec bram coniektórych hadharskich dworów. Tylko drgająca końcówka ogona świadczyła o żywotności stworzenia.

- Pytanie brzmi, co on tu robi? - dokończył Farir, kątem oka zerkając na Anę. Dziewczyna, podobnie jak on, trwała zapatrzona w drapieźnika. - To nie nasz podgatunek, zresztą, nawet naszych gryfów dawno już nie widziano. - Chłopak wzruszył lekko ramionami. Historie o pobratymcach tego tutaj mających żyć kiedyś w Euxanirze i Tamerze - gryfach skalnych czy zharogryfach - plasowały się w tej samej szufladce co legendy o urtokach. Ktoś niby kiedyś je widział, ale jakoś ciężko było w to uwierzyć.

Varrthasir pokręciła głową.

- Nie wiem. - *Ale wiem, kto będzie wiedział*, dodała w myślach, nie dzieląc się jednak tym spostrzeżeniem.

- Czy my... - zaczęła zamiast tego i zawahała się. - Chyba musimy go tu zostawić, co?

Nie chciała tego. Tak naprawdę chętnie uwolniłaby zwierzę z okowów. To jednak nie byłoby mądre.

Farir parsknął cicho.

- No raczej. Nie spodziewam się, by klan był zachwycony takim tym latającym nad domami - stwierdził z rozbawieniem. Tarmogryf sapnął cicho, jakby rozumiejąc. Varrthasir skrzywiła się.

Stworzenie wyglądało na chore - pióra były zbyt matowe a spojrzenie czterech oczu zasnuwane mgłą - wciąż jednak było niebezpieczne.

- Chodźmy już - rzuciła wreszcie Ana. Mrużąc oczy, jeszcze przez chwilę przypatrywała się gryfowi, by wreszcie cofnąć się krok, dwa, trzy, z powrotem w kierunku skalnej ściany. - My... Po prostu wracajmy.

\* \* \*





Wrócili do miasta bez motyli, co nie umknęło rywalom Farira. Chłopaka przywitał śmiech i uszczypliwości, na które młody potawiacz odpowiadał z nie mniejszym zapętem. Ana nie została jednak, by słuchać.

- Dostałeś go - wypaliła, gdy po szybkim przemknięciu przez miasto stanęła naprzeciwko Jariza. Wiedziała, gdzie szukać heidra, tak jak on niemal zawsze wiedział, gdzie odnaleźć ją. - Wiem, co było w skrzyni. Dostałeś tarmogryfa - dokończyła napastliwie, instynktownie tylko ścisząc głos do syku. W wyciągniętej ku mężczyźnie pięści ścisnęła duże, białe pióro.

Lim milczał przez długą chwilę, a Ana widziała, jak płonie w nim ogień. Jariz był spokojny. Rozważny. Taki pokazywał się swym pobratymcom. Varrthasir wiedziała jednak, że to nie jest prawda. Ich heidr był żywiołem. Był jak pożar lasu lub wiatr gwałtownie spadający ze zboczy. Nieokiełznany. Dziki. Mogący zgnieść każdego, kto stanie mu na drodze.

A ona stanęła mu naprzeciw, bo potrzebowała odpowiedzi i uważała, że ma do nich prawo. Miała szesnaście lat i sądziła, że coś jej się należy.

- To prezent - powiedział wreszcie Jariz, a Ana uniosła brwi. Mężczyzna uśmiechnął się krzywo. - Prezent - powtórzył - od rodziny.

- Masz rodzinę w Hadharze? - Gdy Lim odwrócił się, by odejść, Varrthasir deptała mu po piętach. Zachodząc mężczyznę raz z prawej, raz z lewej strony nie zamierzała odpuścić.

- Mam - odpowiedział, spoglądając na Anę kątem oka. Nie odpędził jej tylko dlatego, że byli tacy sami. Wiele ich łączyło. W klanowych plotkach kryło się znacznie więcej prawdy, niż ktokolwiek mógłby podejrzewać.

- Nie jestem stąd, wiesz o tym, Varrthasir. Wszyscy wiedzą - Lim uśmiechnął się przelotnie. - Mój klan, moje plemię jest z południa. Tarmogryf jest od nich, ma mi... Coś przypominać.

Ana milczała przez chwilę. Weszła za Jarizem do Chaty, nieświadomie miętusząc w dłoni pióro. Wreszcie, przypominając sobie o nim, ponownie uniosła dłoń i po raz wtóry pokazała zdobycz Limowi.

- On jest chory - stwierdziła rzeczowo. Nie potrzebowała znać się na tarmogryfach by wiedzieć, że ten konkretny wcale nie ma się dobrze. - Te góry nie są dla niego, on się tu... Męczy. - Przerwała na moment. - On ci tu nie jest potrzebny. Zdechnie tu - wypaliła nagle. - Zamordujesz go.

Jariz odetchnął powoli.

- Uspokój się - uciął upominająco, świdrując Anę uważnym spojrzeniem. - Nie zniósł dobrze drogi, to prawda. Ale oni już wiedzą. Moja rodzina. Przysłał kogoś, kto zajmie się Hemarą. Kto się *nią* zajmie - dodał z przelotnym uśmiechem.





- A - dziewczyna znów zamilkła na moment, analizując wszystko, co usłyszała. - Aha. No... No dobrze. - Nie była przekonana, czy wierzy heidrowi, ale chyba nie miała podstaw, by mu nie ufać. Skoro tak mówił to pewnie tak właśnie było. Lim nigdy jej nie zawiódł i nigdy nie okłamał... Prawda?

- Czy ja... - zaczęła po chwili, zawahała się, chrząknęła cicho. - Czy ja mogę pomóc? Z Hemarą - spytała cicho, nagle niepewnie i nieśmiało.

Jariz zastanawiał się chwilę, choć tak naprawdę nie miał nad czym. Wszystko przemyślał już wcześniej.

- Możesz - przyznał z udawanym wahaniem, uśmiechając się jednak ciepło, trochę pobłaźliwie. - Ale nie teraz. Zaczekamy na sahaku, znachora. Gdy przyjedzie, zobaczymy w czym będziesz mogła mu pomóc.

Jariz Lim był świetnym aktorem.

Varrthasir, choć wyraźnie zawiedziona, nie naciskała. Wiedziała, że więcej nie ugra. Pożegnała się z heidrem i opuściła Chatę, szybkim krokiem oddalając się ku grupie potawiaczy motyli. Musiała zamknąć Farirowi buzię zanim ten zacznie zbyt paplać.

\* \* \*

Mężczyzna odprowadzał ją wzrokiem aż do chwili, gdy znikła między domostwami. W dłoni cały czas ścisnęła białe pióro. Westchnął cicho.

Była stworzona do wielkich rzeczy.

Była zagrożeniem.

Ana Varrthasir nie mogła tu zostać.

Jariz Lim odepchnął się od ściany i wrócił do Chaty, podejmując decyzję.

